

# Prolog

*Maj 2007*

Była siódma trzydzieści rano. O tej porze miasto tchnęło wyjątkowym spokojem. Nad zatoką wisiała srebrzysta mgła, a migoczące jak rtęć wody uderzały z cichym pluskiem o nadmorski wał. Niebo miało jednolitą barwę, powietrze było przesycone solą. Dla jednych kończyła się noc, dla innych zaczynał się dzień. Tu schludnie odziane pary w podeszłym wieku odbywały poranny spacer dla zdrowia, tam studenci w wymiętych ubraniach wypalali papierosa do ostatniej kawy.

Z rzędzącej mgiełki wyłaniała się powoli góra Olimp, daleko po drugiej stronie Zatoki Termajskiej. Kojące błękity nieba i morza zrzucały bladą powłokę. Bezczyenne tankowce spoczywały z dala od brzegu niczym rekiny olbrzymy, a ich ciemne sylwetki rysowały się na tle nieba. Wzdłuż horyzontu płynęło parę mniejszych statków.

Wyłożoną marmurowymi płytami promenadą, która ciągnęła się wielkim łukiem nad zatoką, sunął nieprzerwany strumień pań z salonowymi pieskami, nastolatków z kundlami, joggerów, rolkarzy, rowerzystów oraz matek z dziećmi w wózkach. Między morzem i promenadą a rzędem kawiarni wlokły się przybywające do miasta samochody. Kierowcy, nieodgadnieni za osło-

nami przeciwsłonecznymi, poruszali ustami, podśpiewując najnowsze przeboje.

Wolnym, choć miarowym krokiem, po długiej nocy spędzonej w dyskotekach i barach, szedł skrajem morza szczupły chłopak o jedwabistych włosach, ubrany w markowe dżinsy wytarte fabrycznie. Jego opaloną twarz pokrywał dwudniowy zarost, mimo to czekoladowe oczy lśniły młodzieńczym blaskiem. Poruszał się swobodnie, jak człowiek zadowolony z siebie i świata, i nucił cicho pod nosem.

Po drugiej stronie ulicy, wąskim chodnikiem oddzielającym mały stolik od krawężnika, para staruszków zmierzała ostrożnie w kierunku swojej ulubionej kawiarni. Mężczyzna nadawał tempo, stąpając uważnie i mocno podpierając się laską. Mieli ponad dziewięćdziesiąt lat i około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu. Byli starannie ubrani: on w świeżo wyprasowanej koszuli z krótkimi rękawami i jasnych spodniach, ona w kwiecistej bawełnianej sukience, zapinanej na guziki od góry do dołu i przewiązanej paskiem w talii, o prostym fasonie, jaki prawdopodobnie nosiła od pięćdziesięciu lat.

Wszystkie krzesła w kawiarniach na promenadzie wzdłuż ulicy Niki\* zwrócone były w stronę morza, żeby goście mogli obserwować ciągle zmieniający się pejzaż pełen ludzi, samochodów i statków bezgłośnie wpływających do portu i go opuszczających.

Dimitrisa i Katerinę Komninosów powitał właściciel kawiarni Assos i wymienił z nimi kilka uwag na temat trwającego właśnie strajku generalnego. Ponieważ duża część pracujących mieszkańców miała praktycznie dzień wolny, co oznaczało większy ruch w kawiarniach, właściciel nie narzekał. Wszyscy już się przyzwyczaili do akcji protestacyjnych.

---

\* *Niki* (gr.) — zwycięstwo.

Starsi państwo nie musieli składać zamówienia. Nigdy się nie zmieniło: sączyli gęstą kawę z cukrem, dzieląc się trójkątnym słodkim ciastkiem kataifi.

Staruszek był pochłonięty przeglądaniem nagłówków w gazecie, gdy żona poklepała go natarczywie po ramieniu.

— Popatrz... popatrz, *agapi mu!* Idzie Dimitris!

— Gdzie, kochanie?

— Mitsosie! Mitsosie! — krzyknęła staruszka, używając zdrobniałej formy imienia, które wnuk dzielił z jej mężem, ale chłopiec nie usłyszał wołania w ryku klaksonów i silników, gdy zniecierpliwieni kierowcy ruszyli ze skrzyżowania.

W tej samej chwili Mitsos ocknął się z zamyślenia i widząc, jak jego babcia gorączkowo macha do niego po drugiej stronie jezdni, rzucił się między jadące samochody w jej kierunku.

— Dzień dobry, *jaja!* — powiedział, biorąc ją w ramiona, a potem ściskając wyciągniętą rękę dziadka i całując go w czoło. — Jak się macie? Co za miła niespodzianka. Wybierałem się dzisiaj do was!

Staruszka rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Zarówno ona, jak i jej mąż uwielbiali jedyne go wnuka, a ten z kolei pławił się w ich miłości.

— Zamówimy ci coś! — zaproponowała podekscytowana.

— Nie, dziękuję. Nie trzeba.

— Musisz mieć na coś ochotę... Weź kawę albo lody...

— Jestem przekonany, Katerino, że on nie chce lodów!

Do stolika znów podszedł kelner.

— Poproszę szklanek wody.

— Nic więcej? Na pewno? — Staruszka nadal próbowała dogodzić wnukowi. — Może zjesz śniadanie?

Kelner już się oddalił. Starszy pan pochylił się do przodu i dotknął ramienia chłopaka.

— Rozumiem, że dziś znów odwołano wykłady — powiedział.

— Niestety — odrzekł Mitsos. — Zdążyłem się do tego przyzwyczać.

Chłopiec był na studiach magisterskich i przez rok uczył się na uniwersytecie w Salonikach. Tego dnia wykładowcy strajkowali razem z całą służbą cywilną w kraju, więc wszyscy mieli coś w rodzaju święta. Po długiej nocy w barach przy ulicy Proxenou Koromila Mitsos wracał do domu, żeby się wyspać.

Dorastał w Londynie, jednak każdego lata odwiedzał w Grecji swoich dziadków ze strony ojca i od piątego roku życia chodził co sobota do greckiej szkoły. Nauka na uniwersytecie w Salonikach dobiegała końca i dzięki rocznym studiom, mimo częstego odwoływania zajęć z powodu strajków, płynnie posługiwał się językiem greckim, który nazywał swoim językiem „ojcowskim”.

Choć dziadkowie zawsze zapraszali go do siebie, mieszkał na stacji, ale w każdy weekend odwiedzał ich w mieszkaniu nieopodal morza, gdzie spotykał się z tak wielkim uwielbieniem — obowiązującym każdą grecką babcie i każdego greckiego dziadka — że go to niemal przytłaczało.

— W tym roku zorganizowano więcej akcji protestacyjnych niż kiedykolwiek wcześniej — powiedział starszy pan. — Ale musimy to znosić, Mitsosie. Z nadzieją, że będzie lepiej.

Razem z nauczycielami i lekarzami strajkowali również śmieciarze i jak zwykle nie działał transport publiczny. Dziury w jezdniach i popękane chodniki miały pozostać nienaprawione przez wiele kolejnych miesięcy. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach dziadkom żyło się ciężko. Patrząc na pokryte blizną ramię babci i wykrzywione artretyzmem ręce dziadka, chłopiec nagle uprzytomnił sobie, jacy są wąтли.

W tej samej chwili zauważył mężczyznę, który zmierzał w ich stronę, stukając o chodnik białą laską. Droga, którą miał

do pokonania, była torem przeszkód: natrafiał na samochody nieprawidłowo zaparkowane dwoma kołami na chodniku, nierówne krawężniki, pacholki i musiał sobie z tym wszystkim jakoś radzić. Mitsos zerwał się z miejsca, widząc, że niewidomego w końcu zbił z tropu szyld kawiarni, ustawiony na samym środku chodnika.

— Pomogę panu — zaproponował. — Dokąd pan idzie?

Spojrzał w twarz młodszą od swojej i prawie przejrzyste niewidzące oczy. Mężczyzna miał jasną karnację, na jednej powiece biegła zygzakiem blizna po niezdarnie zaszytej ranie. Uśmiechnął się, odwracając głowę w kierunku, z którego dobiegł głos.

— Dam sobie radę — zapewnił. — Chodzę tędy dzień w dzień. Ale zawsze natykam się na coś nowego...

Auta pokonywały z łoskotem krótki odcinek do kolejnych świateł, prawie zagłuszając słowa Mitsosa:

— W takim razie może przeprowadzę pana przynajmniej przez ulicę.

Wziął mężczyznę za ramię i ruszyli przez jezdnię. Poczuł jego pewność siebie i zdecydowanie i niemal zażenowany pomyślał o swojej propozycji pomocy.

Gdy znaleźli się na chodniku po drugiej stronie ulicy, puścił ramię niewidomego. Miał wrażenie, że teraz ich spojrzenia się spotkały.

— Bardzo dziękuję.

Mitsos zorientował się, że po tej stronie ulicy grozi mężczyźnie nowe niebezpieczeństwo. Niedaleko od miejsca, gdzie stali, promenada pionowo spadała do morza.

— Wie pan, że jesteśmy tuż przy morzu?

— Oczywiście. Codziennie tędy spaceruję.

Spacerowicze byli zatopieni każdy w swoim świecie albo zanurzeni w słyszanej tylko przez nich, pulsującej muzyce i nie

zwracali uwagi na ociemniałego mężczyznę. Kilka razy doszłoby do zderzenia, gdyby w ostatniej chwili nie dostrzegli białej laski.

— Czy ze względu na swoje bezpieczeństwo nie lepiej pójść gdzieś indziej, gdzie jest mniej ludzi? — zapytał Mitsos.

— Zapewne, ale wtedy straciłbym to wszystko... — odpowiedział niewidomy.

Zatoczył łuk ręką, obejmując morze i zatokę, która pięknie rozciągała się przed nimi półkolem, po czym wskazał przed siebie, na ośnieżone szczyty gór, znajdujące się w odległości stu kilometrów po drugiej stronie tafli wody.

— Olimp. Stale zmieniające się morze. Tankowce. Statki rybackie — mówił. — Pana zdaniem przecież i tak tego nie widzę, ale kiedyś widziałem. Wiem, że tam są, wciąż je widzę oczyma duszy i zawsze będę widział. Poza tym nie chodzi tylko o to, co się widzi, prawda? Niech pan zamknie oczy.

Młody mężczyzna wziął Mitsosa za rękę i ją przytrzymał. Chłopaka zaskoczył dotyk szczupłych palców, gładkich i chłodnych jak marmur, i przepełniła wdzięczność za ten fizyczny kontakt, upewniający go, że nie jest sam. Zdał sobie sprawę, czego doświadcza człowiek, który stoi w ciemności, samotny i bezradny, na ruchliwej promenadzie.

W chwili gdy jego świat ogarnął mrok, wyostrzyły mu się zmysły. Głośne dźwięki stały się ogłuszającym rykiem, a słońce zaczęło prażyć go w głowę tak mocno, że był bliski omdlenia.

— Niech pan chwilę postoi — nalegał mężczyzna, czując, że ręka wysuwa się z jego uścisku. — Tylko przez kilka minut.

— Po prostu zdumiała mnie intensywność doznań i próbuję się z nimi oswoić — wyjaśnił Mitsos. — Wśród takiej masy ludzi mam wrażenie, że jestem całkowicie odsłonięty.

Choć miał zamknięte oczy, z tonu głosu mężczyzny domyślił się, że ten odpowiada mu z uśmiechem na twarzy.

— Jeszcze chwila. Poczuj pan dużo więcej...

I tak się stało.

Intensywny zapach morza, wilgotny dotyk powietrza na skórze i miarowy plusk fal uderzających o wał nadmorski nabrały wyrazistości.

— Każdego dnia to wszystko jest inne, wie pan? Zmienia się dzień w dzień. Latem powietrze stoi nieruchomo, woda jest gładka jak oliwa, a góry, jak wiem, przesłania lekka mgła. Żar bije od kamieni i czuję to przez podeszwy butów.

Stali zwrócenii w stronę morza. Ten poranek trudno było uznać za typowy dla Salonik. Niewidomy mężczyzna słusznie twierdził, że każdy dzień jest inny, ale rozległy widok, jaki roztaczał się przed ich oczami, miał w sobie jeden niezmienny element: obecność zarówno historii, jak i czegoś ponadczasowego.

— Czuję dookoła siebie mieszkańców. Nie tylko takich jak pan, współczesnych, ale również innych. W tym miejscu kłębi się przeszłość, roi się od ludzi równie rzeczywistych jak pan. Nie umiem powiedzieć, czy widzę ich bardziej, czy mniej wyraźnie. Czy to brzmi sensownie?

— Tak, oczywiście.

Mitsos nie chciał odwrócić się i odejść, choć ten młody człowiek i tak by tego nie zobaczył. W ciągu ich kilkuminutowej rozmowy poczuł, że jego zmysły się wyostrzyły. Na zajęciach z filozofii nauczono go, że to, co postrzegamy, niekoniecznie jest rzeczywiste, a teraz sam się o tym przekonał.

— Mam na imię Pawlos — przedstawił się niewidomy.

— A ja Dimitris. Mówią na mnie Mitsos.

— Uwielbiam to miasto — ciągnął mężczyzna, a jego słowa płynęły prosto z serca. — Zapewne są miejsca, gdzie ociem-

niałym żyje się wygodniej, ale nie chciałbym mieszkać nigdzie indziej.

— Oczywiście, też widzę... to znaczy, rozumiem, co masz na myśli. To pięk... to zdumiewające miasto — szybko poprawił się Mitsos, zirytowany swoją bezmyślnością. — Przepraszam... muszę wracać do dziadków. Miło było cię poznać.

— Mnie również. Dziękuję za pomoc.

Niewidomy odwrócił się i odszedł, stukając cienką białą laską. Mitsos odprowadzał go wzrokiem, przekonany, że od jego spojrzenia tamten czuje ciepło na plecach. A przynajmniej miał taką nadzieję. Pohamował się, żeby nie pobiec za nim i nie wyruszyć na wspólny spacer brzegiem morza, kontynuując rozmowę. Może innego dnia...

Wydawało mu się, że słowa „uwielbiam to miasto” rozbrzmiewają echem dookoła niego.

Wrócił do stolika wyraźnie przejęty tym spotkaniem.

— Ładnie z twojej strony, że mu pomogłeś — odezwał się Dimitri. — Widujemy go niemal każdego dnia, ilekroć jesteśmy poza domem. Kilka razy o włos uniknął wypadku na tej ulicy. Ludzie są tacy zobojętniali.

— Dobrze się czujesz, Mitsosie? — zapytała Katerina. — Co tak ucichłeś?

— Wszystko w porządku. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział... — odrzekł Mitsos. — Bardzo kocha to miasto, choć jest mu tu tak ciężko.

— Doskonale go rozumiemy, prawda, Katerino? — wtrącił Dimitris. — Nam też trudno chodzić po tych nierównych chodnikach. Nikt nic z tym nie robi mimo przedwyborczych obietnic.

— Więc dlaczego się nie przeprowadzicie? — zapytał Mitsos. — Przecież mama i tata chcą, żebyście zamieszkali z nami w Londynie. Tam żyłoby wam się dużo łatwiej.



Dziewięćdziesięciolatkwie mieli nieustające zaproszenie od swojego syna z zadrzewionego Highgate i od swojej córki ze Stanów, z zamożnego przedmieścia Bostonu, ale coś powstrzymywało ich przed wyborem wygodniejszego życia. Mitsos często słyszał rozmowy rodziców na ten temat.

Katerina posłała mężowi ledwie dostrzegalne spojrzenie.

— Choćby ofiarowano nam tyle diamentów, ile jest kropli w tym morzu, i tak byśmy stąd nie wyjechali! — zwróciła się do wnuka, pochylając się i biorąc go za rękę. — Zostaniemy w Salonikach do śmierci.

Powiedziała to z taką mocą, że chłopak nie posiadał się ze zdumienia. Jej oczy zapłonęły ogniem i zaraz się zaszklily, ale nie tak jak u osób w podeszłym wieku, bez żadnego powodu. Po policzkach popłynęły łzy wzruszenia.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Mitsos zdawał sobie sprawę tylko z tego, że babcia mocno ściska jego rękę. Nikt się nie odzywał ani nie poruszał. Chłopak spojrzał jej w oczy, szukając w nich wyjaśnień. Zaskoczyła go ta eksplozja uczuć, bo dla niego babcia była dobrotliwą starszą panią o łagodnym usposobieniu. Jak większość Greczynek w jej wieku, zazwyczaj czekała, aż mąż wypowie się pierwszy.

Wreszcie ciszę przerwał Dimitris.

— Namawialiśmy nasze dzieci, by zdobywały wykształcenie za granicą. Wówczas była to słuszna decyzja, ale zakładaliśmy, że z czasem wrócą do kraju. Postanowiły jednak zostać tam na stałe.

— Nie miałem pojęcia... — wybąkał Mitsos, ściskając rękę babci. — Nie miałem pojęcia, że tak to przeżywacie. Tata rzeczywiście mówił kiedyś, dlaczego wysłaliście jego i ciotkę Olgę z kraju, ale nie znam całej historii. Czy wiązało się to z wojną domową?

— Po części tak — rzekł Dimitri. — Może nadszedł czas, byśmy ci powiedzieli... jeśli cię to interesuje, rzecz jasna.

— Oczywiście, że mnie interesuje! — wykrzyknął Mitsos. — Przez całe życie niewiele wiedziałem o przeszłości ojca i nie otrzymywałem odpowiedzi na pytania. Teraz chyba jestem już na tyle dorosły, że można mi to wyjaśnić, nie sądzicie?

Starsi państwo wymienili spojrzenia.

— Jak myślisz, Katerino? — zapytał Dimitris.

— Myślę, że powinien pomóc nam zanieść do domu warzywa, z których zrobię jego ulubione jemista na lunch — odrzekła wesoło. — Co ty na to, Mitsosie?

Skreśli w bok od nadmorskiej promenady i wąskimi starymi uliczkami doszli na skróty do hali targowej Kapani.

— Ostrożnie, *jaja* — powiedział wnuczek, gdy znaleźli się przy straganach, w alejce, gdzie na ziemi poniewierały się nadgniłe owoce i warzywa.

Kupili lśniące karmazynowe papryki, rubinowe pomidory okrągłe jak piłki do tenisa, zwartą białą cebulę i ciemnofioletowe bakłażany. Na wierzchu torby sprzedawca położył pęczek kolendry, która pachniała chyba na całą ulicę. Wszystkie te produkty wyglądały tak świeżo, że można by je jeść na surowo, ale Mitsos wiedział, że babcia przyrządzi z nich pożywne i smakowite danie, faszerowane papryki i pomidory, które były jego ulubioną potrawą, odkąd sięgał pamięcią, od pierwszego przyjazdu do Grecji. Już burczało mu w brzuchu.

W części targowiska, gdzie handlowano mięsem, alejki były śliskie od krwi ściekającej z pni rzeźnickich. Rzeźnik przywitał swoich stałych klientów jak członków rodziny i Katerina szybko dostała paczkę z baranią głową, jedną z wielu spoglądających z wiadra na klientów.

— Po co ją kupiłaś, *jaja*? — zapytał Mitsos.

— Na wywar — powiedziała i znów zwróciła się do sprzedawcy: — Poproszę jeszcze kilogram flaków.

Zamierzała zrobić potem patsas. Za kilka euro żywiłaby ich przez wiele dni. U niej nic się nie marnowało.

— To gwarantowany środek na kaca, Mitsosie — odezwał się dziadek, puszczając do wnuka oko. — Babcia zawsze ma na sercu twoje dobro.

Po dziesięciu minutach wędrówki przez podupadłą część starych Salonik doszli do domu Dimitrisa i Kateriny. Tuż przed głównym wejściem, przy kiosku na rogu, przystanęli, żeby przywitać się z najlepszym przyjacielem dziadka, jego *kubaros*, czyli drużbą. Panowie znali się ponad siedemdziesiąt lat i nie było dnia, by nie prowadzili zaciętych dyskusji na temat najnowszych wydarzeń. Siedząc od rana do wieczora w swoim *periptero*, otoczony gazetami Lefteris wiedział o polityce miasta więcej niż którykolwiek z jego mieszkańców.

Mieszkanie znajdowało się w brzydkiej czteropiętrowej kamienicy zbudowanej w latach pięćdziesiątych. Wspólna sień była dość widna, pomalowana na żółto, z rzędem czternastu skrzynek na listy przypisanych do poszczególnych lokatorów. Posadzkę z jasnego kamienia, cętkowanego jak kurze jajo, niedawno umyto środkiem dezynfekującym o tak silnym zapachu, że Mitsos musiał wstrzymać oddech, gdy wolno wchodzili po schodach.

W porównaniu z mieszkaniem klatka schodowa była jasno oświetlona. Przed wyjściem z domu starsi państwo zawsze zamykali okiennice, a po powrocie Katerina otwierała je, żeby wpuścić świeże powietrze. Firanki we wszystkich oknach przepuszczały niewiele światła. Cały czas panował tu półmrok, ale to odpowiadało Katerinie i Dimitrisowi. Od słońca płowiąły tkaniny i blakły drewniane meble, więc starszankowie woleli, żeby światło sączyło się przez firanki i paliły się słabe żarówki.

Gdy Mitsos postawił torbę z zakupami na kuchennym stole, babcia szybko wyjęła warzywa i zaczęła kroić je w kostkę

i w plasterki. Wnuk jak zahipnotyzowany przyglądał się równiutkim kawałeczkom cebuli i krążkom bakłażana. Robiąc to po raz stutysięczny, Katerina pracowała z dokładnością maszyny. Ani jedno piórko cebuli nie spadło z deski na kwiecistą ceratę. Wszystko, do ostatniego atomu, trafiło na patelnię i gdy zetknęło się z oliwą, uniósł się obłok pary. Katerina przygotowywała posiłki tak sprawnie, jakby była o połowę młodsza. Poruszała się po kuchni z szybkością i zręcznością tancerki. Przemykała po płytkach z PCW tam i z powrotem między wiekową lodówką, która co pewien czas pobrzękiwała, a kuchenką elektryczną — zużyte drzwiczki dawało się zamknąć tylko mocnym walnięciem.

Mitsos zapatrzył się na babcię. Dopiero gdy podniósł głowę, na progu kuchni zobaczył dziadka.

— Już kończysz, kochanie?

— Za pięć minut wszystko zacznie się gotować. Chłopcu trzeba dać jeść!

— Ależ oczywiście. Chodź, Mitsosie, zostaw babcię na chwilę samą.

Mitsos poszedł za dziadkiem do ciemnego salonu i usiadł naprzeciwko niego w drewnianym wyściełanym fotelu. Wszystkie fotele miały haftowane ochroniacze na podłokietniki i zagłówki, wszędzie leżały białe serwetki robione szydelkiem. Przed elektrycznym kominkiem stał mały parawan z misterną aplikacją przedstawiającą wazon z kwiatami. Mitsos od małego przyglądał się, jak babcia szyje, i wiedział, że te ozdoby są jej dziełem. W pokoju rozbrzmiewało niskie, miarowe tykanie zegara.

Na półce za fotelem Dimitrisa stały rzędem fotografie w ramach. Na większości z nich znajdował się Mitsos albo jego cioteczne rodzeństwo z Ameryki. Były tam również zdjęcia ślubne jego rodziców oraz cioci i wujka, a także jeszcze jedna

oprawiona fotografia: bardzo formalny portret dziadków. Trudno powiedzieć, ile lat mają na tym zdjęciu.

— Musimy poczekać, aż przyjdzie babcia, i wtedy zaczniemy — powiedział Dimitris.

— Naturalnie. To ona zrzekłaby się worka diamentów, żeby tu mieszkać, czyż nie tak? Okropnie się zezłościła na samą myśl o wyjeździe. Nie chciałem jej urazić.

— Wcale jej nie uraziłeś. Po prostu ma zdecydowaną opinię na ten temat, i tyle.

Niedługo potem Katerina weszła do pokoju, owiana wonią zapiekanych na małym ogniu potraw. Zdjęła fartuch, usiadła na kanapie i posłała uśmiech swoim dwóm Dimitrisom.

— Widzę, że poczekaliście na mnie.

— Bez ciebie bym nie zaczął — rzekł czule jej mąż. — Ta historia jest tak samo twoja, jak i moja.

W przyćmionym świetle, które równie dobrze mogło być światłem poranka, jak zmierzchu, rozpoczęli opowieść.

# Rozdział pierwszy

*Maj 1917*

Morze skrzyło się w jasnej, delikatnej mgiele. Na lądzie mieszkańcy najbardziej dynamicznego i kosmopolitycznego miasta w Grecji zajmowali się swoimi sprawami. Saloniki oszałamiały mieszanką kultur: żyli tam obok siebie chrześcijanie, muzułmanie i żydzi, niemal równie liczni, i dopełniali się jak splecione ze sobą nici orientalnego dywanu. Pięć lat wcześniej miasto przestało być częścią imperium osmańskiego i zostało przyłączone do Grecji, lecz nadal odznaczało się różnorodnością i tolerancją.

Mnogość barw i kontrastów w tym etnicznym tyglu znajdowała odzwierciedlenie w różnaitości ubiorów na ulicach. Widać było mężczyzn w fezach, kapeluszach i turbanach. Żydówki nosiły tradycyjne kubraki wykończone futrem, a muzułmanie długie szaty. Zamożne Greczynki w szytych na miarę kostiumach z domieszką paryskiej *haute couture* uderzająco różniły się od ubranych w bogato haftowane fartuchy i chusty chłopek, które przyjeżdżały z okolicznych wiosek, by sprzedawać swoje wyroby. W górnej części Salonik przeważali muzułmanie, w części nadmorskiej żydzi, a Grecy mieszkali

na obrzeżach. W mieście nie było jednak segregacji i w każdej dzielnicy ludzie z tych trzech kultur utrzymywali ze sobą kontakty.

Położone na zboczu wzgórza, u którego stóp wybrzeże ciągnęło się długim półkolistym łukiem, Saloniki wyglądały jak amfiteatr zbudowany dla wielkoluda. Wysoko na wzgórzu, w miejscu najbardziej oddalonym od morza, znajdował się wiekowy mur, który wyznaczał granice miasta. Gdy spojrzeć z tej wysokości w dół, rzucały się w oczy budowle religijne: dziesiątki minaretów wznosiły się do nieba i wyglądały jak igły wbite w poduszczyk, dziesiątki kościołów o kopułach z czerwonej dachówki i jasnych budynków synagog rysowały się na tle panoramy miasta schodzącego do zatoki. Widać tu było nie tylko oznaki rozwoju tych trzech religii, lecz również wiele pozostałości z czasów rzymskich: łuki triumfalne, fragmenty pradawnych murów, kolumny stojące na otwartej przestrzeni niczym wartownicy na straży.

W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci warunki życia w mieście się poprawiły. Zbudowano kilka szerokich bulwarów, nie do porównania z siecią starych uliczek biegnących stromym zboczem w górę i wijących się niczym węże na głowie Meduzy. Przybyło kilka dużych sklepów, ale handel detaliczny nadal prowadzono przeważnie w tysiącach rodzinnych sklepików wielkości kiosku, które konkurowały ze sobą, stłoczone w wąskich zaułkach. Obok tradycyjnych *kafenion*, jakich były setki, powstały kawiarnie na wzór europejski, gdzie podawano wiedeńskie piwo, i kluby, gdzie dyskutowano o literaturze i polityce.

Miasto sprawiało wrażenie tłoczego. Nagromadzenie mieszkańców na powierzchni ograniczonej murami i morzem wzma-gało intensywność zapachów, barw i hałasu. Wołania sprzedawców lodów, owoców, mleka i jogurtu były donośne, ale melodyjne.

Zarówno nocą, jak i w dzień nieustannie rozbrzmiewała muzyka miasta. Mówiono tu wieloma językami, słyszało się nie tylko grecki, turecki czy ladino, którym posługiwali się Żydzi sefardyjscy, lecz również francuski, armeński i bułgarski. Łoskot tramwajów, krzyki ulicznych handlarzy, wezwania do modlitwy wyśpiewywane przez dziesiątki muezinów, brzęk łańcuchów podczas cumowania statków, chropowate głosy dokerów, gdy wyładowywali towary pierwszej potrzeby i towary luksusowe, na które czekali biedacy i bogacze — to wszystko tworzyło niezwykłą melodię miasta.

Miejskie zapachy często nie były tak przyjemne jak dźwięki. Od garbarni niósł się ostry odór moczu, a ścieki i gnijące śmiecie z gospodarstw domowych nadal spływały z biedniejszych dzielnic do portu. Gdy kobiety patroszyły ryby z nocnego połowu, zostawiały parujące i cuchnące odpadki na pożarcie kotom.

W środku miasta znajdował się targ z kwiatami, których woń pozostawała w powietrzu przez wiele godzin po tym, jak sprzedawcy zwinęli kramy i rozeszli się do domów. Przy długich ulicach rosły drzewka pomarańczowe, dając zarówno cień, jak i upajający zapach. Koło drzwi wielu domostw krzewiły się jaśminy, ich pachnące białe płatki pokrywały ulice niczym śnieg. Od rana do wieczora w powietrzu unosił się aromat przygotowywanych potraw i mieszał z aromatem kawy parzonej na małych kuchenkach i wypijanej na ulicy. Na targowiskach czuło się wonne przyprawy usypane w niewielkie piramidy i dym z nargili palonych przy wejściach do kawiarni.

Saloniki były wówczas siedzibą rządu tymczasowego, którym kierował były premier, Elefterios Wenizelos. Kraj był głęboko podzielony — nazywano to schizmą narodową — na stronników proniemieckiego króla Konstantyna i liberalnego Wenizelosa. Gdy ten drugi uzyskał kontrolę nad północną Grecją, wojska



ententy rozłożyły się pod Salonikami, gotowe do podjęcia działań przeciwko Bułgarii. Mimo dobiegających z oddali odgłosów walk większość mieszkańców nie odczuwała skutków wojny światowej. Niektórzy zaś, dostrzegłszy nowe możliwości, bogacili się jeszcze bardziej.

Jedną z takich osób był Konstantinos Komninos. Tego pięknego majowego poranka szedł zdecydowanym krokiem, jak to on, przez wybrukowany teren portu. Udał się tam, żeby sprawdzić, czy przybył statek z tkaninami. Tragarze, żebracy i chłopcy pchający wózki omijali go starannie, gdy zmierzał wprost do wyjścia. Wiadomo było, że nie ma cierpliwości do ludzi, którzy wchodzą mu w drogę.

Zauważył, że zakurzyły mu się buty, a obcas zabrudził świeżym łajnem muła, wobec tego zaszedł do swojego pucybuta, jednego z kilku siedzących rzędem obok domu celnego, i zagonił go do pracy na co najmniej dziesięć minut.

Pucybut, ponadsiedemdziesięcioletni mężczyzna o skórze ciemnej i twardej jak glansowane przez niego obuwie, czyścił Komninosowi buty od trzech dziesięcioleci. Przywitali się skinieniem głów, ale żaden się nie odezwał. Właśnie tak Komninos wykonywał codzienne czynności: nie wdając się w rozmowy. Starzec pucował drogie półbuty z dziurkami na noskach, aż załśniły, polerował oba jednocześnie, nakładał pastę, wcierał w skórę i na koniec szczotkował posuwistym ruchem, obiema rękami, machając w lewo i w prawo, w poprzek, w górę i w dół, z boku na bok, jakby dyrygował orkiestrą.

Jeszcze zanim skończył, usłyszał brzęk spadającej na tacę monety. Zawsze tyle samo, ani razu mniej lub więcej.

Tego dnia, jak każdego innego, Komninos był ubrany w ciemny garnitur, i choć robiło się coraz goręcej, nie zdejmował marynarki. Takie zwyczaje świadczyły o statusie społecznym. Załatwianie interesów w koszuli z krótkimi rękawami nie

mieściło się w głowie — to jakby zdejmować zbroję przed bitwą. Kod oficjalnego ubioru mężczyzn i kobiet, czytelny dla Komninos, przyniósł mu bogactwo. Garnitury przydają mężczyźnie rangi i godności, a w przypadku kobiety dobrze skrojone ubrania na wzór europejski sprawiają, że wygląda elegancko i wytwornie.

Kupiec bławatny dostrzegł swoje odbicie w lśniącej witrynie domu towarowego, od niedawna jednego z kilku w mieście. Wystarczyło przelotne spojrzenie na ten cienisty wizerunek, by przypomniał sobie, że powinien iść do golarza. Skreślił w ulicę odchodzącą od bulwaru nadmorskiego i po chwili usiadł wygodnie w fotelu. Fryzjer namydlił mu twarz i dokładnie go ogolił, omijając wąsy. Potem starannie ostrzygł, zostawiając równo dwa milimetry między końcami włosów a brzegiem kołnierzyka. Komninos zirytował się na widok srebrnych drobin, które fryzjer zdmuchnął z nożyczek.

Przed udaniem się do swojego sklepu spędził trochę czasu przy małym okrągłym stoliku, do którego kelner przyniósł mu kawę i ulubioną pravicową gazetę „Makedonia”. Szybko przejrzał dział wiadomości i zapoznał się z doniesieniami o najnowszych intrygach politycznych w Grecji, po czym rzucił okiem na tytuły mówiące o działaniach wojskowych we Francji. Na koniec przesunął palcem po tabeli z cenami akcji.

Wojna sprzyjała działalności handlowej Komninos. Otworzył duży skład niedaleko portu, żeby usprawnić prowadzenie nowego interesu: dostarczał tkaniny na mundury wojskowe. Przy dziesiątkach tysięcy powołanych do służby przedsięwzięcie było zakrojone na wielką skalę. Choćby zatrudnił wielu pracowników, ciągle ich brakowało i realizacja zamówień przebiegała zbyt wolno. Zapotrzebowanie rosło z dnia na dzień.

Komninos wypił kawę jednym haustem i wstał od stolika. Codziennie z niezmienną satysfakcją stwierdzał, że od siódmej

rano jest na nogach i pracuje. Dodatkową radość sprawiała mu myśl, że spędzi jeszcze osiem godzin w kantorze, a potem pojedzie do Konstantynopola. Przed wyjazdem musiał zająć się ważnymi dokumentami.

□ □ □

Tego popołudnia jego żona, Olga Komninos, wyjrzała przez okno ich rezydencji przy ulicy Niki i zatrzymała wzrok na górze Olimp, ledwie widocznej w jasnej mgiełce. Ponieważ upał się wzmagał, otworzyła jedno z wysokich okien, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Nie powiał choćby najlżejszy wiaterek, za to doleciały wyraźne dźwięki. Wezwania do modłów mieszały się ze stukotem końskich kopyt i turkotem powozów przejeżdżających ulicą, zabrzmiała syrena statku wchodzącego do portu.

Olga wróciła na szeszląg przysunięty bliżej okna, żeby można było poczuć morską bryzę, i się położyła. Nie musiała zdejmować wytwornych pantofelków na niskich obcasach, bo nigdy nie wyszła w nich za próg domu. Jedwabna suknia niemal zlewała się z jasnozielonym obiciem mebla. Granatowa czerń zaplecionych włosów podkreślała bladość cery. W taki senny dzień Olga nie umiała ułożyć się w wygodnej pozycji. Piła szklankami lemoniadę, którą oddana gosposia stale dolewała do dzbanka.

— Przynieść pani coś jeszcze, *kiria* Olga, coś do jedzenia? Nic pani dziś nie jadła — powiedziała z nutą niepokoju w głosie.

— Dziękuję, Pawlino, nie mam ochoty. Wiem, że powinnam coś zjeść, ale dziś po prostu... nie mogę.

— Jest pani pewna, że nie trzeba wezwać doktora?

— To z powodu upału.

Opadła na poduszki i na jej skronie wystąpiły kropelki potu. Głowa pękała z bólu. Żeby go złagodzić, Olga przyłożyła do czoła zimną szklankę.